



26

(Ciąg dalszy)

— Słyszę i cieszę się niewymownie — mówił Janek uszczęśliwiony. Jak to dobrze! jak to dobrze! Jesteś malarzem, więc staniesz się sławnym i bogatym...

— Tak, jestem malarzem, lecz dotąd bardzo często umieram z głodu. Spójrzcie na moją odzież! Mam wprawdzie drugie, niby lepsze ubranie, lecz niemal do szczytu na łokciach wytarte. Gdy wyruszyłem z budy nie było pracy, którejbym się nie chwycił. Czas jakiś zbierałem z gościńców nawóz koński, podawałem cegły przy budowie domów, nosiłem piasek z Wisły... Sypiałem w zimie w ohydnych podmiejskich norach, w cegielniach i piecach wapiennych, niekiedy w mieście pod schodami... w lecie zaś w ogrodach i na wirydarzach... zawsze sam, otoczony obojętnymi lub złośliwymi ludźmi. Jedni litowali się nademną, lecz pomocy udzielić nie chcieli, inni szydzili i poniewierali. I pomyśleć sobie, że gdyby rodzice kazali nas uczyć jakiegokolwiek rzemiosła, moglibyśmy we troje wieść życie pracowite, spokojne, uczciwe... bliscy siebie, wspierający się wzajemnie. A teraz co? Ja dobijam się wprawdzie zaszczytniejszego stanowiska, lecz czy się dobiję... nie wiem jeszcze. Sztuka ma także swój proletaryat, z którego wydostać się niezmiernie trudno; zwłaszcza, że w walce o kawałek chleba, traci się wiarę w własny talent i w cel wzniosły, do którego człowiek dąży. A wy... czy nie jesteście jeszcze nieszczęśliwsi odemnie! Kwiat-Nędzy handluje figurkami gipsowymi, włócząc się zmęczony z kąta w kąt, z zaułka do zaułka, z ulicy na ulicę... upokarzany, lekceważony, pogardzany. Graziella sprzedaje kwiaty przed cukierniarniami i restauracjami, wciąż narażona na niegodziwe spojżenia i rozpustne żarty nicponiów, próżniaków i fufantów!

Rumieniec oblał bladą twarz Janka.

— O, tak! tak!... Całą duszą pragnęłam, żeby Różia została robotnicą, żeby dzień cały spędzała w porządnym zakładzie, w którym młode dziewczęta szyją bieliznę... albo w fabryce kwiatów... albo przy innej lżejszej pracy. Lecz oni nie chcieli... oni nie pozwalali!... A takbym się cieszył, gdybym wiedział, że jada codziennie zdrową strawę, że nie znosi chłodu w zimie, że nikt nie śmie jej uragać... że nikt na nią nie spogląda pożałdliwym okiem...

Mówił gorąco, z uniesieniem i z zapalem. Piotruś przyglądał mu się, uśmiechał i szeptał:

— Jak ty ją kochasz!... jak ty ją kochasz!

— O, tak... Graziella jest dla mnie wszystkim na ziemi. Dla niej tylko żyję!... Tych, których niegdyś kochałem, postradałem oddawna. Nie wiem, co się dzieje z dwoma dziewczynkami, z którymi się wychowywałem. Ojciec mój przybrany zmarł pewno w odległej krainie... stał bardzo daleko... Matki zaś nigdy nie znałem... Graziella zastąpiła mi wszystkich moich. Jej zawdzięczam moje istnienie. Ona jedna pocieszała w ciągłych strapieniach... ona, dziś jeszcze, gdy mnie okropny smutek ogarnia, budzi w sercu męstwo i otuchę.

— Jak ty ją kochasz!... jak ty ją kochasz! — powtarzał Piotr nieustannie.

Patrzył na oboje wzrokiem artysty. Podziwiał niezwykle piękność siostry i interesującą brzydotę Janka, który pomimo niekształtnej budowy ciała, ogromnej głowy i cienkiej, długiej szyi, posiadał śliczne oczy, pełne inteligentnego i uduchowionego

wyrazu. (Od chwili, w której zaczął malować, nie spotkał jeszcze dwóch tak odmiennych, a zarazem tak ciekawych i niepospolitych modeli.

— Słuchaj siostrzyczko — rzekł po niej jakimś czasie — czy nie chciałabyś mi pozować do obrazu? Jeśli się zgodzisz, wdzięczny ci będę całym sercem. Postaram się uchwycić podobieństwo i odtworzyć wdziek, jakim czarujesz...

Różia roześmiała się głośno, niemal dziecięcym śmiechem.

— Ma się rozumieć, pozować ci będę kiedy zechcesz. Odmówiłam już kilku innym artystom, którzy mnie o to prosili, lecz tobie przecież odmówić nie mogę.

— Zatem rzecz postanowiona... wymaluję twój portret! Kto wie?... może go przyjmą na wystawę, może dzienniki o nim napiszą... może dostanę stypendium i pojedę zagranicę... zwiedzę Rzym, Paryż, Londyn... O, wierzę w dobrą moją gwiazdę i wciąż żyję nadzieją!

Na oddalonym jakimś zegarze miejskim wybiła godzina pierwsza.

— Czas was opuścić, bo oczy już się wam kleją — rzekł Piotr, powstając z krzesła — a jednak, nie mogę was opuścić dopóki nie opowiem, jakim sposobem zostałem malarzem.

— Słuchamy cię, słuchamy! — zawołali razem Graziella i Kwiat-Nędzy.

Piotr usiadł.

— Mówiłem już, że wymknąwszy się z budy, próbowałem wszelkich sposobów zarobkowania, byle tylko nie zdechnąć z głodu. Między innymi, podejmowałem się nieraz sprzedaży dzienników... Pewnego wieczora, było to... jak dobrze pamiętam... w wigilię Bożego-Narodzenia, wziąłem z redakcji „Wieku“ sporą paczkę egzemplarzy, a nie sprzedałem ani jednego... Wściekle zimno panowało wówczas. Cały ranek śnieg padał, o zmroku zaś mróz dochodził chyba do jakich dwudziestu stopni. Schroniłem się do przedsionka katedralnego kościoła św. Jana, przepełnionego tłumem nędzarzy. Siadłem skulony w kącie, żeby się nieco rozgrzać i odpocząć, ale żebracy i żebraczki zaczęli się oburzać, że wcisnąłem się między nich, nie mając do tego prawa. Powstałem więc i wszedłem do rzeźbiarskiej oświetlonej świątyni, w której odprawiała się Msza Święta, „pasterska“ zwana... Ukłąknąłem z boku, przy jednym z konfesyonałów i modliłem się gorąco... goręcej może od wszystkich tam zgromadzonych pobożnych. Wtem zabrzmiała „kolenda“, setnymi głosami śpiewana. Nuta jej słodka, pełna ludowej prostoty, wzruszyła mnie do głębi, uczułem jakiś błogi spokój, spływający w moją znękaną duszę. Przeżyłem wtedy pamiętną mi dotąd chwilę duchowego upojenia... Tymczasem ludzie poczęli powoli opuszczać katedrę. Czekając na nich w kółkach rodzinnych wigilijna wieczerza, drzewko jaśniejące świeczkami i „gwiazdka“. Moją gwiazdką był głód, który strasznie mi dokuczał... Nie chciałem wyjść z kościoła... i w miarę, jak światła gasły, kryłem się w cieniach, rzucanych przez wyniosłe filary, pragnąłem bowiem przepędzić noc w katedrze, żeby nie wałęsać się po pustych ulicach, na których wiatr północny wył przeraźliwie i srożyła się zamieć śnieżna... Niespodzianie jakiś człowiek, który przyglądał mi się od pewnego czasu i siedł krok w krok za mną, stanął tuż obok, położył rękę na moim ramieniu i rzekł gło-

sem, tętniącym dobrocią: „Blady jesteś... prawdopodobnie głodny i bezdomny. Chodź ze mną“.

— I cóż?... i cóż? — pytała Graziella przejęta ciekawością.

— Wziął mnie za rękę i wyprowadził z kościoła, przed którym stała pańska karetka, zaprzężona w pysznego, siwojabłkowego, rasowego konia. Nie namysławiając się wcale... a mogłem przecież być nożownikiem lub rzeźmieszkim... otworzył drzwiczki od karetki i kazał usiąść przy sobie. Pojmujesz Różiu, jaki to być musiał dobry człowiek! Nie pogardził nędzarzem, chociaż mnie nie znał, chociaż nie wiedział, czy jestem godzien jego litości. Inny, wskazałby mi miejsce na koźle... on, przy sobie posadził!... O, jakże uczułem się skruszony, przypomniawszy sobie, że nieraz rzucałem przekleństwa na bogaczy! Zrozumiałem wówczas, że dobrzy, szlachetnymi czynami okupują niegodziwości złych; że nigdy nie należy uogólniać potępienia, bo w pośród wszystkich klas społecznych, przy nierzędziach, znajdują się także zacięci ludzie!... Gdy przybyliśmy nareszcie do jego domu i mieszkania, przede wszystkim mnie nakarmił, potem... po kolacyi, którą jadł razem ze mną, zaczął bardzo delikatnie wypytywać: czemu chciałem się zająć, co robić?... a ja, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia i doniosłości słów moich, zwłaszcza, że czułem się nieco rozmarzony winem, które podawano przy wieczerzy, zacząłem opowiadać: że przypadkiem, dzięki protekcji woźnego z Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, zwiedziłem kilkakrotnie nieustającą wystawę obrazów, że zachwyceni ich pięknnością, pragnąłem uczyć się malarstwa. On zaś słuchał mnie z wielką uwagą, patrząc mi w oczy, sądując... zda się... duszę moją do głębi. Uśmiechał się niekiedy, a twarz jego jaśniała tak dziwnie łagodnym wyrazem, że o mało nie padłem mu do nóg, ujęty jego dobrodusznym uśmiechem. Nareszcie, rzekł tonem, którego nie zapomnę nigdy: „No, no... zostaniesz malarzem, moje dziecko“.

— Ach, jak ja go kocham... tego człowieka! — zawołała Graziella, składając drżące od wzruszenia ręce, jakby do modlitwy — jakże ja go kocham!

— Kochać go należy siostrzyczko, bo on mnie ocalił od zguby... od upadku ducha... może od znikczemnienia!... Zaraz nazajutrz oddał mnie do szkoły rysunkowej na naukę... swoim kosztem, ma się rozumieć... a oprócz tego wyznaczył mi małą pensyjke na życie i mieszkanie...

— Czy ci ją wypłaca jeszcze?

— Nie — odparł Piotr poważnym tonem. Od pewnego czasu tem, co zarabiam, opędzam moje codzienne potrzeby. Maluję „kicze“, które chętnie znajdują nabywców. Co prawda sprzedaje je za bezcen, lecz bądź co bądź sprzedaje... a wierzę mi, nie wszyscy moi towarzysze tem się poszczycić mogą. Gdy pierwsze moje płótno kupił handlarz starożytności, znający się na rzeczy, tegoż samego dnia pobiegłem do mego dobrodzieja i powiedziałem mu, że pensyi więcej pobierać nie będę. Prosiłem go, by ją przeznaczył dla kogoś bardziej odemnie potrzebującego. Nie myśl, że żyję w dostatku i wygodach... o nie! Dotąd jestem tylko robotnikiem, pracującym od rana do wieczora, albo uganiającym się po różnych składach papieru, obrazów, galanterii i tym podobnych, żeby spieniężyć moje obrazki. Bywają dni, że nie mam grosza przy duszy, że nie jem objadu, że nawet